

Jan Samojedny

Wspomnienia

Rocznik Kolbuszowski 12, 451-463

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia

SŁOWO WSTĘPNE

Ilu lipniczan wyruszyło poza granice ojczyźnej ziemi w poszukiwaniu pracy, chleba i lepszego losu, tego już chyba nikt nigdy nie zliczy. Od ostatniej ćwierci XIX wieku, kiedy to rozpoczęli oni masowe wychodźstwo, aż po czasy nam współczesne można szacować, że było ich nie setki, lecz tysiące. Jechali do tych bardzo dalekich zamorskich krajów, takich jak: Argentyna, Australia, Brazylia, Kanada, Urugwaj, a przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych, gdzie wyjechało ich zdecydowanie najwięcej. Wielu z nich życiową przystań na stałe lub na pewien czas znalazło również w krajach europejskich: Belgii, Czechosłowacji, Francji, Grecji, Hiszpanii, Łotwie, Niemczech, Norwegii, Szwecji, Włoszech. Mimo że tych lipnickich emigrantów było tak wielu, to swoje wspomnienia, które zostały opublikowane, spisali tylko dwaj z nich, a mianowicie Jan Sudoł¹ i Jan Paluszek². Opisali oni swoje emigracyjne dzieje w Stanach Zjednoczonych. Natomiast do tej pory brak było wspomnień autorstwa osoby, która doświadczyła losu lipnickiego emigranta w kraju europejskim. Takiego trudu w 2010 roku podjął się Jan Samojedny z Niska. Jest on jednym z tych lipniczan, który wyemigrował w latach 30. XX wieku do Francji, gdzie ze swoimi najbliższymi przebywał w latach 1937-1946.

Wspomnienia jego autorstwa składają się z trzech części. W pierwszej ukazano jego drogę życiową, która dzięki zdolnościom, pracowitości, ambicji i uporowi zaprowadziła go od wiejskiego chłopca z Lipnicy aż do stanowiska prezesa Wojewódzkiego Zarządu

¹ J. Sudoł, *Moje wspomnienia z lat 1890-1945*, Kolbuszowa, wyd. I 1994; wyd. II 2009.

² J. Paluszek, *An American Journey*, New York 1981. (Tekst tej pracy w języku polskim w tłumaczeniu D. Pierzchała znajduje się w zbiorach pana mgra Mariana Piórka z Weryni).

Związku Gminnych Spółdzielni „SCH” w Tarnobrzegu. W tej części przedstawia również swoich najbliższych: żonę, dzieci, wnuków i prawnuków. W drugiej części opisane zostało jego dzieciństwo, starania o wyjazd do Francji, a następnie podróż do tego kraju, pobyt w nim oraz pierwsze miesiące pobytu w Polsce po powrocie z emigracji. Trzeci fragment wspomnień jest poświęcony w całości jego pobytowi we Francji i opisowi powrotu do Ojczyzny.

Zaznaczam, że tytułów poszczególnych części nie było w oryginale wspomnień i za zgodą ich Autora zostały nadane przeze mnie. Prezentowane wspomnienia, mimo że są niewielkie objętościowo, to stanowią przykład rzetelnego, napisanego z głębokim zaangażowaniem i obiektywizmem opracowania, zawierającego niezwykle dużą ilość informacji. Ich opublikowanie spowoduje, że staną się dostępne dla wszystkich, co przyczyni się do poszerzenia wiedzy o dziejach lasowiackiego wychodźstwa z okolic Kolbuszowej.

Wojciech Mrocza

CZEŚĆ I. MOJA DROGA ŻYCIOWA I MOI NAJBLIŻSI

To, co piszę, nie jest usystematyzowane i bardzo fragmentaryczne, a być może i subiektywne. Ale fakty zawarte w opisie są prawdziwe i według mnie całkowicie obiektywne. Są to wspomnienia dotyczące niektórych zdarzeń, które głęboko utkwily w mej pamięci. No cóż, lata młodości odcisnęły swoje piętno na całe moje życie.

Ze wzruszeniem wracam pamięcią do czasów pobytu we Francji, która była i jest nadal moją drugą ojczyzną. I tak jak bonapartysta subiekt Rzecki z *Lalki* Bolesława Prusa, ja również żyłem i żyję przesiąknięty hasłami rewolucji francuskiej. Świątuję co roku dzień 14 lipca. Tęskniłem za tymi hasłami, bo nigdy nie znalazłem ich w programie i hasłach polityków polskich oraz w rzeczywistości Rzeczypospolitej.

Wyjeżdżając do Polski, przyrzekłem przyjaciołom we Francji, że będę ich odwiedzał co kilka lat i utrzymywał z nimi bieżącą korespondencję. Nie mogłem dotrzymać danego im słowa. Jakoś bez większego problemu otrzymałem paszport do ZSRR i krajów socjalistycznych. Jednak nie dane mi było odwiedzić przyjaciół we Francji. Przy utrzymywaniu korespondencji poradzono mi we Wrocławiu, bym sobie z tym dał spokój. Widocznie, tak jak wielu repatriantów z Zachodu, nie budziłem zaufania wszystkich władz. Jednak to w Polsce mogłem podnosić swe wykształcenie i kwalifikacje zawodowe w Krakowie, Warszawie i Rzeszowie oraz pełnić zaszczytne i odpowiedzialne funkcje społeczne i zawodowe.

Od wiejskiego chłopca pasącego krowy w Lipnicy, przez

zawód górnika we Francji i Bytomiu, włókniarza w Głuszyckich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, finansisty w Ekspozyturze PKO w Kolbuszowej, do pracy w Spółdzielczości Zaopatrzenia i Zbytu – to moja droga zawodowa. Jako prezes Zarządu Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Nisku, dzięki wykwalifikowanej kadrze, ryzykując własnym stanowiskiem, wprowadziłem nowatorskie rozwiązania. To ten PZGS „SCH” jako jedyny w województwie rzeszowskim posiadał własne biuro projektowe z odpowiednią kadrą architektów i techników z uprawnieniami projektowymi i budowlanymi. To też ten PZGS zatrudnił i zorganizował dla pracowników spółdzielczości gabinet dentystyczny. To do tego PZGS-u zapraszany był z odczytami rektor filii UMCS w Rzeszowie, mój przyjaciel profesor Marcin Jełowicki i profesor Bewszko. To przy tym PZGS-ie istniał Zakład Budowlany budujący w GS-ach: masarnie, piekarnie, zakłady gastronomiczne, nowoczesne pawilony handlowe i magazyny towarowe. To ten zakład wybudował, a potem rozbudował Przychodnię Zdrowia w Nisku, remontował i wybudował Szpital Powiatowy w Nisku, szkoły podstawowe w Maziarni i Domostawie, a na prośbę WZGS „SCH” w Rzeszowie pomagał budować obiekty spółdzielcze w powiatach Rzeszów i Tarnobrzeg. W ramach współzawodnictwa PZGS „SCH” w Nisku plasował się na zaszczytnym drugim lub trzecim miejscu w kraju i pierwszym w województwie rzeszowskim. To wszystko było możliwe dzięki ofiarnej, świadomej i dobrze wynagradzanej kadrze, nie żałującej wysiłku w zdobywaniu dostawców towarów przez przy właściwych stosunkach międzyludzkich.

Za długoletnią pracę w spółdzielczości i nowatorstwo w działalności pionu spółdzielczego wyróżniono mnie Kawalerskim i Oficerskim Krzyżem Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami państwowymi i resortowymi.

Po ustawie z dnia 28 maja 1975 roku o dwustopniowym podziale administracyjnym państwa oraz o zmianie ustawy o radach narodowych prezes Zarządu Głównego Centrali Rolniczych Spółdzielni „SCH” pismem z dnia 30 maja 1975 r. powołał mnie na przewodniczącego komisji organizacyjnej Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w nowo powstałym województwie tarnobrzesckim. Po zorganizowaniu tegoż WZGS w dniu 1 lipca 1975 r. zostałem prezesem zarządu WZGS „SCH” Tarnobrzeg.

W październiku 1975 roku uległem wypadkowi, fatalnie łamiąc nogę, którą dopiero w sierpniu 1976 roku doprowadzono, przy pomocy śrub i aparatu odciążającego do, niestety, niepełnej sprawności. Komisja lekarska przyznała mi rentę powypadkową, orzekając drugą grupę inwalidzką.

Pracując w Głuszyckich Zakładach Bawełnianych, w oddziale

zbytu, na stanowisku kierownika sekcji ds. eksportu i dostaw dla MON, zawarłem związek małżeński z Janiną Skórską, która wytrzymuje w tym związku już 61 lat. Urodziła mi wspaniałe, kochające nas dzieci: syna Tadeusza i córkę Irenę. Syn z żoną Teresą z domu Grzywa i córkami Katarzyną i Magdaleną wyjechał do USA. Dzieci Ireny: Anna Walc z domu Folta również przebywa w USA, syn Marcin po obronie pracy magisterskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim i uzyskaniu stopnia awansu zawodowego nauczyciela dyplomowanego uczy w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Czarnieckiego w Nisku. Jestem też szczęśliwym pradziadkiem. Mam dwóch prawnuczków: od wnuczki Anny Karolka, a od Magdy – Sebastiana. Mieszkają w USA.

Tu, w Nisku, dzięki pożyczce z Banku Inwestycyjnego w Rzeszowie, wybudowałem dom jednorodzinny, który darowałem aktem notarialnym wnukowi Marcinowi i w którym, w ramach służebności, mieszkamy razem z żoną.

Spadek po rodzicach w ilości 5 ha i części zabudowań, szanując ciężką pracę ojca, który dbał o całość tego majątku, aktem notarialnym w Nisku darowałem bratankowi Marianowi Samojednemu w całości. Teraz, gdy jestem goły jak po urodzeniu, żyję sobie z kochaną żoną jako szczęśliwy ramol, korzystając ze skromnej emerytury i renty za czas pracy w kopalni Chateau Barat we Francji.

CZEŚĆ II. DZIECIŃSTWO W LIPNICY, WYJAZD DO FRANCJI I POBYT NA EMIGRACJI

Dzisiaj, z perspektywy przeżytych lat, a mam ich już 81, muszę przyznać, że los był dla mnie łaskawy. Urodziłem się 6 października 1928 r. jako syn Adama Samojednego i Katarzyny z domu Mrocza. Stanisław, pierwsze dziecko w tym małżeństwie, zmarł kilka tygodni po urodzeniu. Z relacji mamy wiem, że ja również byłem chorowitym dzieckiem. Do szóstego roku życia chorowałem na wszystkie choroby dziecięce: gorączkowałem, miałem odrę, ospę, dyfteryt, szkarlatynę i anemię. Leczone mnie pijawkami, bańkami i ziołami według wiejskiej wiedzy. Jednak życie ratował mi lekarz sprowadzony furmanką do Lipnicy. Mama nie żałowała pieniędzy na moje zdrowie, doświadczona śmiercią pierwszego syna.

Rodzice posiadali 0,35 ha ziemi. Stąd też wzięła się emigracja taty do Francji. Jako człowiek jak na owe czasy odczytany i doświadczony w wojnie polsko-bolszewickiej uznał, że utrzymanie rodziny na wsi jest możliwe tylko na większym gospodarstwie. Ciężka praca w kopalni i samozaparcie sprawiły, że to postanowienie mu się spełniło. Odkładane oszczędności pozwoliły w 1936 roku na zakup

tw. „czwartka” pola wraz z zabudowaniami od Rusina w Lipnicy. Ale do zakupionej ziemi w roli gospodarza mógł przystąpić dopiero w 1947 roku, po powrocie do Polski i odpracowaniu w kopalni w Bytomiu 6 miesięcy jako górnik.

Przed zakupem gospodarstwa i późniejszym wyjazdem do ojca do Francji, razem z mamą mieszkalem u babci Ewy Mroczyka. Jej mała, pokryta strzechą chałupka nad rowem sąsiedowała ze szkołą, gdzie kierownikiem był pan Władysław Socha. Sąsiedztwo to było dla mnie bardzo korzystne. Często odwiedzałem państwa Sochów, bawiąc się z ich córką Janiną. Tam to po raz pierwszy zobaczyłem i posłuchałem radia kryształkowego. To pan Socha uczył mnie grać na skrzypcach, to on za własne pieniądze kupił mi struny do wystruganych z deski skrzypiec. To jego żałowałem, gdy zobaczyłem go grającego na skrzypcach melodię „Pierwszej Brygady”, płaczącego po śmierci marszałka Piłsudskiego. Tam też, idąc do pierwszej klasy, nie miałem żadnej tremy i strachu, bo progi szkoły były mi od dawna znane.

Teraz trochę żal, bo już nie ma budynku starej szkoły, żal tych niskich, krytych strzechą chałupek: Gumieniaka, kulawego Tomka, babci Mroczykowej, Szatkowskiej i jej syna Jakuba handlującego pijawkami. W miejscu karczmy stoi dziś piętrowy budynek ośrodka zdrowia z punktem aptecznym. Służy on mieszkańcom Lipnicy o wiele lepiej niż niegdysiejsza karczma. Chociaż to w niej odbywały się jasełka, w których występował wujek Józef Mroczyka i stryj Wojciech Tyburczy. Reżyserował je pan Lotz z Dzikowca Nowego, dawniej Wildenthal. On też dozorował wykopy zbiornika przeciwpożarowego, nieopodal „Czerwonego Krzyża”, w części wsi zwanej Koniec. Podziwiałem jego jazdę na motocyklu, szczególnie w nocy, przy świetle reflektora. Jeszcze więcej podziwu wzbudziły we mnie ćwiczenia wojskowe z udziałem piechoty i kawalerii. To był ewenement, bo to w naszej stodole ułani przetrzymywali 6 koni, siodła i inne elementy wyposażenia. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem samochód sanitarny i usłyszałem odgłosy salwy w pozorowanej bitwie.

Pamiętam, z jakim strachem służyłem pani Koziarówny, zwalnającej mnie do domu, mówiącej: „Idź do domu, bo twój tata przyjechał na urlop w odwiedzinę”. Nie znałem go przecie, gdyż jako niemowlę nie mogłem go pamiętać. Wstydzilem się, jak wziął mnie w swe silne ręce i uniósł do góry, całując czule. Byłem dumny, bo koledzy z sąsiedztwa zazdrościli mi przywiezionego na I Komunię Świętą ubrania wzbogaconego o kieszonkowy zegarek z dewizką. Takiego ubrania, jakie mi sprawił tata, nie miał nikt. Dwa tygodnie minęło szybko. Tata, odjeżdżając, obiecał nas ściągnąć na parę lat do Francji. Słowa dotrzymał. Przed wyjazdem trzeba było załatwić

niezbędne dokumenty i formalności. Ale przede wszystkim doprowadzić do zagojenia ropiejącej nogi mamy. Noga, zraniona na ścierniku z łubinem, cały czas ropiała, co stwarzało niebezpieczeństwo odrzucenia wyjazdu przez komisję lekarską z Przemyśla. Dopiero znachor z Sędziszowa pan Ścibiora doprowadził do zabliznienia rany i szczęśliwego wyjazdu do Francji.

Po sprzedaży inwentarza żywego, po załatwieniu innych formalności dotyczących gospodarstwa, w listopadzie 1937 roku wyruszyliśmy pociągiem z Rzeszowa na spotkanie z ojcem. Na czas podróży zaopatrzone nas w kartonowe tabliczki z nazwiskami i imionami oraz docelowym adresem we Francji. Nosiliśmy je na szyi, żeby były cały czas widoczne. Mama, która zawsze była oszczędna i zapobiegliwa, jako zbędny bagaż zabrała pierzyny i podglówki. W 1946 roku razem z nami wróciły do Polski.

Dla mnie, wiejskiego chłopca, cała podróż to wielka niespodzianka. Gapiłem się na wszystko, co dla mnie było nowe. Podczas przesiadki, na poczekalni w Paryżu, nie mogłem oderwać oczu od Murzynów, Arabów w ich strojach, od mnogości wszelkiego towaru oraz świecidełek w kioskach i bufecie. Już w nocy pociąg dojechał do Motceau les Mines. Tu konduktor, dzięki naszym tabliczkom, językiem migowym pokazał nam, że należy opuścić wagon i udać się do poczekalni. Tu tata miał czekać na nas. Faktycznie czekał, ale źle powiadomiony, wyjechał po nas rano, nie wiedząc, że przyjedziemy w godzinach nocnych.

Przed dworcem kolejowym taksówkarze czekali na klientów. I znów dzięki tabliczkom, gdy jeden z nich wszedł do poczekalni, zauważył nas. Podchodząc powiedział – „madame”, a mama zrozumiała, że mówi „Adam” i zna jej męża. Z ufnością wsiedliśmy do jego taksówki. Tata mieszkał w Jules Chagot u państwa Trzczińskich i tu dojechaliśmy taksówką. Gdy wyjeżdżaliśmy, Polska pokryta była śniegiem, a tu na początku grudnia świeciło słońce, nie było mrozu, było ciepło. We Francji zimy są o wiele łagodniejsze, a śnieg rzadko pada, utrzymuje się tylko parę dni.

Po naszym przyjeździe tata rozpoczął starania o mieszkanie, a po jego uzyskaniu o zakup łóżek, szafy i reszty umeblowania. Ja nie mogłem się nasycić owocami: brzoskwini, bananów, pomarańczy, daktyli, fig i ananasów. Nigdy tego w Polsce nie jadłem. Czekolada, cukierki, biały chleb, różne sery i wędliny, to wszystko dla mnie było nowe, jadane codziennie i pod dostatkiem. Rodzice postanowili, że we Francji zostaniemy 4 lata i ze znacznymi oszczędnościami wrócimy do Lipnicy gospodarzyć na własnej ziemi. Niestety, wojna pokrzyżowała te plany i przysporzyła wielu kłopotów i strachu przed łapankami z wyjazdem na roboty do Niemiec. Te wszystkie frykasy, którymi się delectowałem, znikły ze sklepów na lata okupacji.

Wprowadzając kartki, ograniczono możliwość zakupu wszystkich artykułów żywnościowych, ubrań i butów.

Po ukończeniu francuskiej szkoły podstawowej, w marcu 1942 roku rozpocząłem pracę w kopalniach Mines de Blanzy. Początkowo przez 3 dni pracowałem w sortowni węgla, a kolejne 3 dni uczęszczałem do kopalnianej szkoły przysposabiającej do zawodu górnika. Następnie pracowałem jako pracownik fizyczny w laboratorium, gdzie badano kaloryczność węgla ze wszystkich kopalń zagłębia. Później, aż do wyjazdu do Polski, byłem ładowaczem w kopalni Chateau Barat.

Oprócz pracy do moich obowiązków rodzinnych należały rowerowe wyjazdy do okolicznych bauerów po zakupy żywności. Płaciłem za nią ceny czarnorynkowe. Racje kartkowe były bardzo niskie i nie gwarantowały utrzymania już liczniejszej rodziny przy życiu. Rodzina nasza powiększyła się o braci: Eugeniusza, urodzonego w 1938 roku i Mariana, urodzonego w 1943 roku. W pierwszych dniach maja 1944 roku, podczas wyjazdu po żywność do umówionego bauera, zostałem zatrzymany przez patrol niemiecki, wylegitymowany, dotkliwie pobity i wpisany na listę osób zmuszonych do obowiązkowego zgłaszania się co 10 dni w żandarmerii francuskiej. Z listy tej co pewien czas naziści typowali do robót w Niemczech. Ale już w dniach 8-12 czerwca 1944 r. wybuchł strajk generalny w kopalniach Montceau les Mines. Oba te wydarzenia spowodowały moje pójście do lasu, do tzw. „Maquis” w miejscowości Colonge. Był to oddział partyzancki składający się z górników polskich, dowodzony przez Mieczysława Bargiela, który miał pseudo „Roger”.

Oddział nasz składał się wyłącznie z polskich górników i wchodził w skład Wolnych Strzelców Partyzantów Francuskich (FTPF). Przyjmując pseudonim „Frize” („Kręcony”), brałem udział w różnych akcjach i walkach na terenie departamentu Saone et Loire. I tak na początku września 1944 roku wyzwolono miasta: Etange, Marmagne i Tulon sur Aroux, a 8 i 9 września nasz oddział uczestniczył w walkach o miasto Autun.

W zasadzie we wrześniu 1944 roku większość terytorium Francji była wolna. Oddział nasz, podobnie jak inne formacje FFI, stanął garnizonem w swym macierzystym mieście, pełniąc służbę porządkową. Oczyszczał okolicę z rozbitków wojsk hitlerowskich i utworzonej przez kolaboracyjny rząd Petaina, Lawala i Darnanda, specjalnej formacji milicji do zwalczania ruchu oporu. W tym też czasie uzgodniliśmy z rodzicami wspólny wyjazd z całą rodziną do Polski. Postanowienie to ziściło się w październiku 1946 roku.

Z Montceau les Mines pierwszym transportem zorganizowanym przez miejscowy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wróciliśmy do kraju, do miasta Bytom. Tu otrzymaliśmy 3-pokojowe

mieszkanie przy ulicy Poznańskiej 30a. Tu też rozpocząłem pracę w kopalni „Centrum” jako ładowacz, a po 3 miesiącach jako kierownik świetlicy. W czerwcu 1947 roku wraz z rodzicami udałem się do rodzinnej wsi i pomagałem rodzicom w zagospodarowaniu się. Na zakup krowy, konia, wozu i narzędzi rolniczych oraz drzewa na budowę stodoły sprzedaliśmy szewcowi Jędrykowi dwa umundurowania skórzane; nowy rower, tzw. „półbalonówkę” z przerzutką zakupił sąsiad Jan Kurdziel, a inne drobniejsze rzeczy sprzedano na targu w Kolbuszowej i w Majdanie Królewskim.

Niestety, przyzwyczajeni do panujących wśród górników i Francuzów zasad moralnych, gdzie nigdy nie zamykano drzwi wejściowych do mieszkań, gdzie nigdy nikomu nic nie zginęło, naiwnie myśleliśmy, że zakupione i obite cechówką 30 metrów kubicznych sosen będzie bezpiecznie leżeć w lesie, czekając na wywóz. Ponad połowa została rozkradziona. Zgłoszenie kradzieży na posterunku milicji w Dzikowcu nic nie dało. Zaś leśniczy z Wilczej Woli, pan Czabanowski stwierdził, że to nasza wina, bo to my mieliśmy pilnować naszego dobra. Dopiero, gdy dostał od nas sprzęt wędkarski i perfumy *Soir de Paris*, przyrzekł przymknąć oczy, jak kradnąc, uzupełniamy potrzebne na budowę stodoły sosny. Mimo bliskości rodziny, szacunku i koleżeństwa, nie mogłem się przyzwyczaić do warunków panujących w Lipnicy.

CZEŚĆ III. ŻYCIE NA EMIGRACJI

W osiedlach: Jules Charget, Rouwrat i Impasse de Grosille w Montceau les Mines, departament Saone et Loire w Masywie Centralnym mieszkało około 100 rodzin naszych rodaków. W każdej z tych rodzin mężczyźni pracowali w kopalniach Mines de Blanzy w Montceau les Mines. Żony górników zajmowały się wychowaniem dzieci i ogniskiem domowym. Osiedla te zabudowane były barakami zbudowanymi dla jeńców wojennych w czasie I wojny światowej. Po wojnie służyły jako mieszkania dla: Polaków, Rosjan, Włochów, Hiszpanów oraz nielicznych Francuzów. Na przedmieściach miasta Montceau les Mines osiedla takie znajdowały się też w Bois du Werne, Magny, la Saule.

W pobliżu osiedli sklepy miały obsługę polską i niektóre towary też były polskie. Właściciele piekarni i masarni konkurowali z tymi sklepami, dostarczając zamówiony towar bezpośrednio do mieszkań, udzielając przy tym znacznych rabatów i premiując stałych klientów. Za dostarczony towar płacono się co dwa tygodnie. Było to wygodne, gdyż zaliczki i wypłaty górników były właśnie co dwa tygodnie. Osiedla odwiedzane były też przez polskich Żydów, bo

żaden z nich nie pracował w kopalni. Parali się wszelkim handlem. Raz w miesiącu w okolicznych kościołach odprawiano nabożeństwa w języku polskim. Kościoły zapełniały się w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Mimo że były to jednodniowe święta, śpiew kolęd rozbrzmiewał w siedzibach Polaków. Kolędników zastępowały wzajemne odwiedziny całych rodzin i tak tradycyjnie po polsku czczono te święta.

Więści o Polsce dowiadaliśmy się z listów od rodzin i z prasy wydawanej po polsku. Była to: „Gazeta Polska”, „Wiarus” i „Dziennik Polski”. Drukowano w nich powieści np. „Trędowata”, reklamy i nekrologi oraz różne porady prawne. Młodzież szkolna miała do wyboru naukę w szkołach przykopalnianych lub szkołach komunalnych. Poziom nauczania w tych pierwszych był bardzo niski. Poznałem to, uczęszczając przez 3 miesiące do tego typu szkoły w le Magny. Uczono tam 2 godziny języka francuskiego i 2 godziny języka polskiego, którego uczył pan Chełmiński. Darzył mnie dużą sympatią i namówił do kółka recytatorskiego. Po wygłoszeniu na akademii wiersza pt. „Paweł i Gawel” w nagrodę otrzymałem nawet książeczkę z wkładem 5 złotych. Już po powrocie do Polski w 1946 roku zlikwidowałem ją w NBP w Bytomiu. Tu też, słuchając radia „Madryt”, dowiedziałem się, że spikerką była córka pana Chełmińskiego.

Po trzech miesiącach, bez zgody rodziców, przenieśliem się do szkoły komunalnej w Bois du Werne. Poziom nauczania był tu o wiele wyższy, a stopnie co 10 dni podawano rodzicom do wiadomości i podpisu. Była to znakomita kontrola, która zmuszała ucznia do systematycznego uczenia się wszystkich przedmiotów. Dyrektorem szkoły był inwalida I wojny światowej, znakomity pedagog i organizator pan Hemel. Czwartki były wolne od zajęć szkolnych. Był to dzień przeznaczony na naukę religii. Odbywała się ona w obiektach przykościelnych, zaś zachętą do pójścia na religię były wyświetlane tam filmy religijne i inne. Z tego wolnego dnia korzystało też harcerstwo i inne organizacje młodzieżowe.

Praca w kopalniach nie należała do lekkich i bezpiecznych. Od czasu do czasu dochodziło do wybuchu metanu, pożaru pyłu węglowego, tapnięć i innych nieszczęść. Na naszym osiedlu tak zginął Józef Kowalczyk, osierocając żonę i czwórkę dzieci. Po wypadkach śmiertelnych lub powodujących trwałe inwalidztwo, związkowi mężowie zaufania w dniu wypłat przy każdej kopalni i na wszystkich zmianach zbierali datki dla poszkodowanych rodzin. Nie było takiego górnika, każdej narodowości, który by nie rzucił kilka franków, wpisując się na listę ofiarodawców. Ta więc samopomocy górniczej była bardzo duża. Wynikała również stąd, iż nikt z pracujących górników nie był pewien swego losu, a rodziny poszkodowanych rzadko otrzymywały odszkodowania lub renty rodzinne. Było to

dlatego, że powoływane przez zarządy kopalń komisje powypadkowe najczęściej orzekały winę górników. Warto jednak zaznaczyć, że leki przepisywane przez lekarzy rannym lub chorym górnikom i ich rodzinom były bezpłatne.

Wśród Polaków istniały dwie kategorie górników. Jedna to samotni mężczyźni pracujący i gromadzący pieniądze na zakup ziemi i innych dóbr w Polsce. Ci oszczędzali na wszystkim, by jak najszybciej zgromadzić odpowiednie środki i wyjechać do Polski. Do nich należał również mój tata, który za zaoszczędzone pieniądze kupił od Rusina w Lipnicy gospodarstwo rolne wraz z zabudowaniami. Sprzedający wyzbył się go dość tanio, bo w zabudowania te aż trzykrotnie uderzały pioruny. Po zakupie wyładowania atmosferyczne omijały to miejsce.

Druga kategoria górników to pełne rodziny polskie lub mieszane, osiadłe na stałe we Francji. Ich wydatki były adekwatne do zarobków i bieżących potrzeb. Ich wymagania, potrzeby i stopa życiowa były wysokie. Poziom ich życia w porównaniu do warunków polskiej wsi był wysoki i nieporównywalny do mieszkańców wsi. A przecież zdecydowana większość Polaków pochodziła ze wsi województwa łwowskiego i krakowskiego.

Wrzesień 1939 roku był dla nich wszystkich miesiącem smutku i żałoby. Każda rodzina polska śledziła bohaterskie zmagania wojsk polskich z hitlerowskim najeźdźcą. Gdy w radio po raz ostatni odegrano hymn polski, w mieszkaniach polonusów panował płacz i smutek. Wierzono przecież Rydzowi Śmigłemu, że nie oddamy ani guzika. Po klęsce Polski do Francji uciekli również polscy lotnicy. Odwiedzali oni osiedla polskie, opowiadając o bohaterstwie żołnierza polskiego, o zniszczeniach i bestialstwie wojsk niemieckich oraz o ucieczce rządu polskiego do Rumunii. Ale ich wiara w zwycięstwo nad Niemcami udzielała się Polakom. Z nadzieją spoglądano na Wielką Brytanię i Francję, które wypowiedziały wojnę Niemcom, chociaż nie przystąpiły do działań wojennych. W porównaniu do Polski były to dwa potężne kraje, posiadające liczne kolonie, wielkie zasoby finansowe i ludzkie oraz przemysł pracujący na rzecz wojny.

W czerwcu 1940 roku bez większej walki Niemcy zajęły Francję. Warunki bytowe i swobodę drastycznie ograniczono. Tak szybkie zwycięstwo wojsk niemieckich było dla Polaków wielkim szokiem. Wierzono w potęgę Francji, w umocnienia na linii Maginota i w bohaterstwo wojsk francuskich. Razem z Francuzami śpiewano tuż po rozpoczęciu wojny piosenkę „Chodź Hitler na linię Maginota, a znajdziesz tam szybko swój kres...”. Niestety, naziści ominęli te fortyfikacje i zajmując Francję, podzielili ją na dwie strefy. Jedną okupowali, a w drugiej, w Vichy ustanowili rząd kolaboracyjny z Lawalem, Darnandem i marszałkiem Petain jako bohaterem spod

Verdun. Po upadku Polski, a przed zajęciem Francji przez wojska niemieckie, nastąpił patriotyczny zryw Polaków do tworzonej w Coetguidan przez generała Władysława Sikorskiego armii polskiej. Niestety, wielu ochotników, w tym mój ojciec, nigdy tam nie dotarło, bo Niemcy zajęli już te tereny.

Środkiem miasta Montceau les Mines przepływa kanał centralny. Dzieli on miasto na prawo- i lewobrzeżne. Przez pół roku stanowił on granicę między strefą okupacyjną, a tzw. Wolną Francją. Później całe miasto zajęły wojska okupacyjne, uzyskując w ten sposób pełną kontrolę nad wydobywaniem węgla w zagłębiu. Wraz z okupacją wprowadzono kartki żywnościowe, ograniczające maksymalnie żywciove racje bytowe. Górnik i ładowacz pracujący na dole przy urobku węgla otrzymywał dziennie 250 gram chleba złej jakości i jeden litr wina. Wina nie żalowano, bo już dziecko po urodzeniu miało pięć litrów miesięcznie, a dorośli członkowie rodzin nie pracujący w kopalniach dziesięć litrów. Kartkowe racje mięsa wynosiły 0,5 kg, a tłuszczu 0,35 kg miesięcznie. Życiowa stabilizacja została przekreślona. Byt stał się niepewny. Te kartkowe, głodowe racje żywnościowe wspomagano hodowlą królików, uprawą ogródków warzywnych i wyjazdami na wieś do tzw. bauerów. Za czarnorynkowe ceny czasami udawało się u nich kupić trochę sera koziego, masła, mąki, ziemniaków, a przy szczęściu nawet koziego i baraniego mięsa. Nie były to wielkie ilości, ale i tak stanowiły źródło siły w wykonywaniu norm urobku. Ryzyko tych wyjazdów polegało na tym, że były one zabronione przez władze okupacyjne. Patrole żandarmów francuskich i żołnierzy niemieckich zatrzymywały i legitymowały śmiałków udających się na wieś na zakupy. Takie kary jak pobicia i nakazy zgłaszania się co 10 dni w żandarmerii stosowano masowo. Nasiliła się też nagonka na Polaków.

Wielu Francuzów uważało, że to przez Polskę doszło do okupacji Francji przez Niemcy. Częściej niż przed wojną byliśmy szkalowani. „Złodziej jak Polak”, „pijany jak Polak”, czy „bałamutnik jak Polak”, to słowa, które obrażały Polaków. Jak wszędzie, tak i pośród nas były jednostki niepokorne i nadużywające alkoholu, lecz nie dotyczyło to ogółu Polaków. Dopiero w latach 1943-1944 wzrosło uznanie dla Polaków. Wynikało to z oporu wobec okupanta, sabotaży w kopalniach, tworzących się oddziałów partyzanckich. Znow zaczęto nas doceniać. O odwadze i udziale Polaków we francuskim ruchu oporu mówią artykuły zamieszczone w polskiej prasie w latach 60 i 70. XX wieku. Jest w nich opisany i batalion z Montceau les Mines im. Adama Mickiewicza, w którym i ja walczyłem, a dowodził nim major „Roger” – Mieczysław Bargiel. Nasz batalion znajdował się w Colonge, a w lasach Mont St. Wincent był oddział dowodzony

przez porucznika, który miał pseudonim „Topór”. Po wyzwoleniu oddział porucznika „Topora” zasilił szeregi armii gen. Andersa.

Polski ruch oporu konsekwentnie poszerzał swą działalność. Miarą jego aktywności były akcje dywersyjne i sabotażowe. Natomiast opór ekonomiczny, zsynchronizowany z organizacjami francuskimi, polegał na przygotowaniu i organizowaniu strajków. Strajk generalny obejmujący wszystkie kopalnie w Montceau les Mines odbył się w dniach od 8 do 12 czerwca 1944 r. Po jego zakończeniu, obawiając się wywozu do Niemiec, polscy górnicy, wśród nich i ja, udali się do lasów, do tzw. „Maquis”. Wcześniejsza działalność konspiracyjna i kontakty z podziemiem umożliwiły mi wstąpienie do słynnego w departamencie oddziału partyzanckiego im. Adama Mickiewicza. Stanowił on integralną część składową Francuskich Sił Wewnętrznych (FFI). Przyjąłem pseudonim „Frize” (Kręcony).

Na początku września 1944 roku oddział nasz brał udział w wyzwoleniu miast: Etange, Marmagne i Tulon sur Aroux, a w dniach 8-9 września w walkach pod Autun. Z naszych trzech osiedli w walkach i potyczkach z nazistami zginęli: Klus, Grabowiak i Kogut (ojciec), kilku odniosło rany.

Po wyzwoleniu Francji Polacy podzielili się na tych, co chcieli wracać do Polski i na tych, którzy byli temu przeciwni. Podział ten wynikał z tego, że prasa i radio informowały o olbrzymich zniszczeniach w Polsce, o długich, ciężkich latach przy odbudowie kraju i jego gospodarki, a przede wszystkim o zmianie granic i tymczasowości granic zachodnich. Niezależnie od tego podziału jednoczyła nas wszystkich chęć i konieczność materialnej pomocy w odbudowie ojczyzny. Dlatego też większość z nas na tych osiedlach wstąpiła do Organizacji Pomocy Ojczyźnie. Tak członkowie, jak i sympatycy tej apolitycznej organizacji, opłacając miesięczne składki przekazywane na odbudowę gospodarki, manifestowali swą jedność i swój patriotyzm.

Na repatriację do Polski zgłosiło się ponad 40 rodzin. Kilka z nich po spotkaniu z pułkownikiem Marianem Naszkowskim zrezygnowało z wyjazdu. Przemawiając do rodaków, pułkownik opisał tragiczną gospodarkę w Polsce, panujące warunki polityczne i społeczne. Bez żadnych obietnic i osłonek mówił o potrzebie wyrzeczeń, długich i ciężkich latach pracy w wyzwolonej Polsce. Te słowa prawdy wpłynęły na rezygnację kilku rodzin. W październiku 1946 roku z Montceau les Mines wyjechał do ojczystego kraju pierwszy transport rodzin górników polskich. Z naszych osiedli wyjechało 11 rodzin, w tym i nasza rodzina. Było to zwyczajstwo mamy, która nigdy nie była zadowolona z pobytu we Francji. Tato skłonny był zostać jakiś czas we Francji i dopiero po kilku latach udać się do Polski.

Transport uformowano z wagonów towarowych. W każdym

wagonie umieszczono, w zależności od ich wielkości, pięć lub cztery rodziny. Przez cztery dni w urągających warunkach sanitarnych, bez wody i o suchym prowiancie zmierzaliśmy do granic Polski. Nasz pociąg skierowano do Bytomia. Na granicy pociąg przejął Polski Urząd Repatriacyjny. Podczas postoju otrzymaliśmy po 0,15 kg kielbasy, dwie bułki i herbatę. Każdy dorosły otrzymał również 200 zł. Po przyjeździe do Bytomia rozwieziono nas do mieszkań, które stopniowo były urządzone. Większości naszych mebli nie można było zabrać z Francji z powodu braku miejsca w przydzielonych do transportu wagonach towarowych. Inne transporty repatriantów z Francji kierowano do Wałbrzycha. W kopalniach tych dwóch zagłębi górnicy zostali zatrudnieni. Ale tak w Bytomiu, jak i w Wałbrzychu Ślązacy i Zabuzanie kpili z nas, nie szczędząc różnych docinków repatriantom. Śmiali się z naszej naiwności, bo przecie z o wiele lepszych warunków przyjechaliśmy do biedy Polski powojennej. Asymilacja następowała powoli. Po odpracowaniu 6 miesięcy, wiele rodzin wróciło w rodzinne strony. Uczynił to też tato, wracając do Lipnicy, do zakupionego jeszcze przed wojną gospodarstwa.